

Wspomnienia z pracy w Indiach –część I

Tadeusz Żółkiewicz – Delegat Kopexu

Po ukończeniu studiów wyższych na Politechnice w Szczecinie i w Gliwicach, pracowałem w różnych miejscach – najdłużej, przez sześć lat, w biurze projektów przemysłu chemii organicznej PROERG w Katowicach, dochodząc do stanowiska starszego projektanta. Był to okres kiedy biuro to zajmowało się zamianą wielu zakładów produkujących na potrzeby przemysłu obronnego na zakłady produkujące nawozy i środki ochrony roślin dla potrzeb rozwijającego się rolnictwa oraz farby i lakiery (Jaworzno, Cieszyn i in.). Z uwagi na plany przeniesienia tego biura do innego miasta, poza Śląsk, zrezygnowałem z tej pracy. Razem ze mną odeszło wtedy z tego biura siedem młodych projektantów różnych branż.

Poszukując nowego miejsca pracy poważne rozmowy prowadziłem z dwoma nowymi pracodawcami – w Biurze Projektów BIPROMET i w Centrali Handlu Zagranicznego CENTROZAP. Biuro Projektów BIPROMET stanowiło dla mnie niejako kontynuację dawnej mojej projektanckiej profesji. Tam oferowano mi niezłe warunki i byłem skłonny tam się zatrzymać. W CENTROZAP-ie też zaoferowano mi dobre warunki, ale było to dla mnie ciągle coś nowego, czego tak naprawdę nie potrafiłem sobie dokładnie uzmysłowić. W dniu pierwszego marca idąc na umówione spotkanie do Biprometu postanowiłem jednak po drodze najpierw wstąpić do Centrozapu. W dziale kadr na początek zaoferowano mi dosyć niską stawkę, ale równocześnie zapytano o moją znajomość języka angielskiego i czy nie chciałbym się poddać próbie. Zaraz też posłano mnie do dyrektora S. Labisia, jak się potem okazało mojego przyszłego dyrektora pionu górniczego, który po krótkim sprawdzeniu moich umiejętności tłumaczenia tekstu handlowego z języka polskiego na angielski i z języka angielskiego na polski zakwalifikował mnie pozytywnie, mówiąc, że brak mi jeszcze wprawy w posługiwaniu się językiem mówionym – w czym się z nim w pełni zgadzałem. Po powrocie do kadr moja uprzednio zaoferowana stawka bardzo znacznie wzrosła, co spowodowało, że przestałem myśleć o Bipromecie i wyraziłem zgodę na zatrudnienie w Centrozapie. Zaraz też po załatwieniu formalności rejestracyjnych związanych z zatrudnieniem i wypełnieniem szeregu dokumentów stałem się pracownikiem Centrozapu i należało mnie skierować do odpowiedniego działu. I tu zaczęły się problemy. Dzwoniąc przy mnie do kilku kierowników różnych działów, kierownik kadr wszędzie się dowiadywał, że takiego pracownika aktualnie nie potrzebują. Pech chciał, że ten telefon był tak głośny, że ja wszystko słyszałem. Nie nastrajało mnie to optymistycznie i cierpliwie, ale, i z coraz większym niepokojem, czekałem na dalszy rozwój sytuacji. Po kilku takich niefortunnych, nieskutecznych telefonicznych rozmowach kierownik kadr zabierając mnie ze sobą postanowił sam poszukać miejsca mojej przyszłej pracy. Wychodząc, zaraz na korytarzu natknął się na kierownika działu górniczego (GE) pana Tadeusza Michałka i mówiąc mu, że ma dla niego pracownika, którego on właśnie poszukiwał, zostawił nas samych. Tak poznany kierownik działu, w którym miałem w przyszłości tyle lat pracować, okazał się być panem w średnim wieku, około czterdziestki, spokojnym, zrównoważonym i robiącym bardzo dobre wrażenie. To spotkanie, po tak niespotykanym przyjmowaniu mnie przed chwilą w dziale kadr, trochę mnie uspokoiło. I chociaż każde wejście w nowe środowisko jest stresujące, to dla mnie z tą chwilą ten moment stał się nieco łagodniejszy. Zaraz też ten mój nowy przełożony zaprowadził mnie do swojego działu - który, zatrudniając w tym czasie kilkanaście osób zajmował trzy pokoje na pierwszym piętrze budynku w Katowicach przy ulicy Ligonja 7 – i tam przedstawił mnie swoim pozostałym pracownikom. Ale to nie był jeszcze koniec niespodzianek, jakie mnie w tym, tak ważnym dla mnie dniu, spotkały, chociaż już nie miały one tej samej kadrowej barwy. Pierwszy pokój, do którego zostałem wprowadzony był pusty. Zajmował go kierownik działu Jerzy Pitner, który aktualnie przebywał w Ranchi, w Indiach, jako delegat Centrali. Następny pokój, gęsto zastawiony biurkami, zajmowało kilka osób, jak się później okazało dobrze ze sobą zżytych, z których dwie natychmiast rzuciły mi się w oczy. Były to dwie młode panie, które właśnie tapirowały swoje włosy. Przedstawienie się i przywitanie więc wypadło nieco po domowemu. Trochę byłem skrupowany taką sytuacją, ale po przejściu do następnego pokoju dzień niespodzianek jeszcze się nie był skończył. Spośród kilku osób, w równie gęsto zastawionym biurkami pokoju, jedna pani była w trakcie porannej toalety – jej twarz była równomiernie pokryta ciapkami białego kremu, który właśnie był rozsmarowywany. Scena była równie zabawna jak ta poprzednio. Kierownik za chwilę wyszedł zostawiając nas samych. Moment zamieszania z powodu tak nagłego, niespodziewanego pojawienia się obcego, który za chwilę okazał się być już swoim, minął i już było normalnie. Prawie normalnie. Bo przychodziłem z zupełnie innego środowiska. Handel zagraniczny to była sfera zupełnie dla mnie obca. A ja wchodziłem tam niejako wprost z ulicy. Na początek więc nie mieliśmy jakiegoś wspólnego tematu. Po ogólnym przedstawieniu i zapoznaniu się, celem przybliżenia

mi tematu handlu zagranicznego, co wówczas brzmiało dosyć tajemniczo, wprowadzono mnie do tego pierwszego pokoju i pokazano mi dwie szafy pełne skoroszytów i różnych innych materiałów, z którymi na początek miałem się zapoznać.

Zaczynając od górnej półki lewej szafy przeczytałem wszystkie znajdujące się tam materiały, robiąc dla siebie szczegółowy konspekt. Zapoznałem się też ze znajdującymi się tam materiałami dotyczącymi zwyczajów i uzansów handlowych. Poznałem też działalność centrali na rynku indyjskim. Polscy specjaliści - projektanci, inżynierowie nadzoru i wielu górników - budowali tam wówczas dwie głębiny kopalnie węgla kamiennego Sudamdih i Moonidih oraz dwie płuczki węgla Gidi i częściowo Kathara. Wszyscy ci specjaliści mieszkali w specjalnie wybudowanych osiedlach mieszkaniowych, usytuowanych w pobliżu tych budów. W szczytowym okresie budów ilość polskich specjalistów przekraczała dwieście osób. Dostawy urządzeń dla tych obiektów były realizowane w ramach umowy kredytowej zawartej na bazie funta szterlinga. Zapoznając się z udostępnionymi materiałami, poznałem w zasadzie cały górniczy rynek indyjski. Oprócz rynku indyjskiego Dział GE obsługiwał także rynek pakistański, a także inne rynki anglojęzyczne.

Indie po uzyskaniu niepodległości w 1947 roku nawiązały dobre i zażyłe stosunki z ZSRR, trwające w zasadzie aż do czasów Indiry Gandhi, co było wówczas znaczące w świetle polityki międzynarodowej. Wkrótce bowiem Indie stały się jednym z założycieli Ruchu Państw Niezaangażowanych, który po powstaniu Paktu Północnoatlantyckiego NATO i Układu Warszawskiego wyrósł z koncepcji Mahatmy Gandhiego oraz realizacji polityki zagranicznej Indii w latach 40. i 50.. Istotą tego Ruchu była gotowość do pokojowej współpracy z każdym krajem. Polska również na tej fali odwiedziła Indie organizując wizytę państwową z premierem na czele. Wówczas to udał się do tego kraju sam Józef Cyrankiewicz ze swoją drugą żoną Niną Andrycz. Wizyta ta w Polsce stała się głośna nie tyle z powodu polityczno-terytorialnych dokonań, ile z tego, że nasze premierostwo przejechało się w Agrze na słoniu, o czym wiele pisała nasza prasa. W tych czasach zawarta też została Umowa Kredytowa, w ramach której budowano w Stanie Bihar dwie kopalnie głębiny węgla kamiennego i zakłady przeróbki mechanicznej węgla.

Po gruntownym zapoznaniu się z zawartością owych szaf dostałem moje pierwsze handlowe zadanie – miałem opracować ofertę na dostawę części zamiennych. Najważniejszą rzeczą było skalkulowanie cen. Zrobiłem to dosyć szybko, posługując się w obliczeniach swoim kalkulatorem – suwakiem logarytmicznym. Ponieważ nie używałem do tych obliczeń będących wówczas w użyciu maszyn liczących, tzw. kręciołków, wszyscy byli ciekawi, z jaką dokładnością te obliczenia zostały wykonane. Byli zdziwieni, że było to z dokładnością do drugiego miejsca po przecinku. A więc okazało się, że jednak coś umiem!

Tak więc, stopniowo ten nowy dla mnie świat asymilował mnie. A szczytem zaufania było zaproszenie mnie kilka miesięcy później na jakąś prywatną, domową uroczystość. Było w zwyczaju, że w centrali organizowano doroczne spotkania z naczelną dyrekcją, na których ogłaszano nazwiska tych nowoprzyjętych, którzy otrzymują paszporty, co zwykle miało miejsce po roku nienagannej pracy. Na tym spotkaniu wśród odczytanych nazwisk mojego jednak nie było, bo ja już miałem paszport, który otrzymałem przy okazji wcześniejszego wyjazdu do Jugosławii.

We współpracy z Indiami w dziedzinie górnictwa węglowego naszym partnerem była kompania węglowa National Coal Development Corporation (NCDC) z siedzibą w Ranchi, Bihar. Do czasu utworzenia w 1975 roku nowej instytucji z siedzibą w Kalkucie, Coal India Ltd. (CIL), wszystkie nasze sprawy załatwiane były w Ranchi.

Na rynku indyjskim w tym czasie funkcjonowały w zasadzie dwa duże kontrakty na budowę dwóch głębiny kopalń węgla kamiennego i dwóch zakładów przeróbki mechanicznej węgla oraz szereg mniejszych zamówień na dostawy części zamiennych. Wszystkie wyliczenia, prowadzone przez dział księgowości znajdowały się także w dziale GE. Zapoznając się z udostępnionymi materiałami poznałem w zasadzie cały rynek indyjski.

Oprócz rynku indyjskiego dział obsługiwał także rynek pakistański. W tym czasie przebywał tam na delegacji Henio G. Barwna postać. Każdą rozmowę umiał zawsze umiejętnie sprowadzić do humorystycznie i dowcipnie przedstawionych spraw damsko-męskich. Będąc w Pakistanie nabawił się tam jakiegoś strasznego choróbka, z którym medycyna w Katowicach długo nie mogła sobie poradzić. Po roku kurowania się jednak powrócił zdrowy do działu GE i pracując nadal skutecznie bawił nas swoim optymizmem i pozytywnym nastawieniem do życia.

W owym czasie Centrala posiadała w Indiach swoją Delegaturę, która składała się z dwóch stałych delegatów, pracowników Centrali. Kierownikiem Delegatury był Wiktor Kuczera, a drugim delegatem był Jerzy Pitner (JP). Obaj delegaci przebywali tam wraz ze swoimi rodzinami. Delegatura mieściła się

w stanie Bihar, w Ranchi, w pobliżu zagłębia węglowego Asansol – Dhanbad, gdzie znajdowały się głębokie kopalnie węgla kamiennego Sudamdih i Moonidih. Były to kopalnie projektowane i gębione przez projektantów i górników z Polski i pod nadzorem naszych specjalistów. Z Polski dostarczono też podstawowe wyposażenie górnicze. Stopniowo do pracy wciągani byli indyjscy górnicy, w wielu wypadkach uprzednio przeszkoleni w polskich kopalniach na Śląsku. W Ranchi natomiast mieściła się siedziba indyjskiego partnera handlowego NCDC (National Coal Development Corporation Ltd.). Wkrótce okazało się że JP, po ukończeniu swojego kontraktowego terminu, ma wracać do kraju. Trzeba było znaleźć następcę. Na zmiennika wyznaczono jednego z pracowników Centrali pana Jerzego D. Nie znaleźliśmy go, nie był pracownikiem działu. W dziale bywał tylko celem zapoznania się z dokumentacją dotyczącą rynku indyjskiego.

Nowy delegat wyjechał na początku 1967 roku. Niedługo jednak tam przebywał. Jak opowiadał później Kierownik Delegatury, nie sprawdził się w tamtym indyjskim środowisku. Nie dostosował się do panującego w tamtejszym osiedlowym indyjskim środowisku zwyczaju zatrudniania odpowiedniej miejscowej służby do wykonywania pewnych prac domowych. Wszystkie domowe prace wykonywał sam. Obaj delegaci centrali mieszkali w oddzielnych, jednorodzinnych domkach (bungalow), w wydzielonym osiedlu NCDC (Officers Colony) o nazwie Gandhi Nagar, przy Kanke Road. J.D. podobno nieodpowiednio się zachowywał na tym osiedlu. Fakt, że musiał wyjechać z Ranchi. Do Centrali nie wrócił. Podobno zatrzymał się gdzieś we Wiedniu i w Centrali go już nie widzieliśmy.

Indyjska przygoda

Trzeba więc było prędko wysłać zmiennika. W sytuacji kadrowej, w jakiej wówczas znajdował się dział, tylko moje nazwisko znalazło się na liście szybkiego wyjazdu. Sam nie spodziewałem się, że to tak szybko nastąpi. Tak więc w marcu 1968 roku znalazłem się w drodze do Ranchi. Rodzina moja miała przyjechać nieco później, po załatwieniu formalności paszportowych i wizowych.

Sam odlot z Warszawy nie odbył się bez problemów. To była moja pierwsza podróż samolotem. Przy przesiadce w Bejrucie okazało się, że mój bagaż nadany w Warszawie zaginął. Poznani w samolocie, udający się również do Kalkuty dwaj pracownicy Elektrimu, jako że nie pierwszy raz lecieli tą linią, pomogli mi przy zgłaszaniu zaginięcia mojego bagażu. Bagaż w Bejrucie się nie znalazł i nadal kontynuowałem lot do Kalkuty z międzylądowaniem w Bombaju. Wreszcie w samolocie lecącym z Bombaju do Kalkuty intensywny warkot silników się zmienił. Przeszedł w monotony, łagodny szum. To znak, że zbliżał się do lądowania. Z wielkim zaciekawieniem oglądałem z pokładu samolotu coraz bardziej zbliżającą się ziemię, kraj, w którym miałem spędzić tyle lat, o czym jeszcze wówczas nie wiedziałem, kraj, który stał się niemal moją drugą ojczyzną.

Zdecydowanie przeważała kolor rudo-czerwony. Niewielkie połacie lasów. Trochę zieleni wokół ludzkich skupisk i wzduż łączących je dróg, jezior i rzek. Ziemia zupełnie wysuszona. Niewielkie, chude, wąziutkie rzeczki, z góry wyglądające jak małe strumyki. Wielka, życiodajna rzeka Ganges znajdowała się daleko na północy i nie była widoczna. Monsun miał przyjść dopiero za cztery miesiące, kiedy to ziemia zaczyna się na nowo zielenić, a rzeki napełniać. Wreszcie koła samolotu dotknęły lotniska. Ucichły silniki. Nastąpiła cisza – krótka; zaraz otworzyły się drzwi i natychmiast wleciało gorące, wilgotne, powietrze. O charakterystycznym zapachu perfum, przypraw i spalin. I taki już był ten zapach cały czas.

Na lotnisku pozwolono mi wejść do pomieszczeń przylotu bagażu i samemu poszukać, czy gdzieś się nie znajdzie moja zagubiona walizka. Był to jeszcze czas, gdy białemu można było dużo więcej. Mogłem swobodnie poruszać się po przestrzeni lotniska normalnie niedostępnej dla przeciętnego pasażera. Bagaż niestety się nie znalazł i należało czekać na jego przylot w terminie późniejszym. Tak więc musiałem pozostać w Kalkucie do czasu znalezienia się bagażu i nie mogłem zgodnie z planem udać się w dalszą podróż pociągiem do siedziby Delegatury Centrali w Ranchi. Ponieważ wiadomość o moim przylocie nie doszła na czas do konsulatu, nikt po mnie na lotnisko nie wyszedł. Razem z tymi dwoma nowopoznanymi delegatami Elektrimu jechałem do miasta i zatrzymałem się do następnego dnia w ich pomieszczeniach.

Jazda była długa, przez zatłoczone i kręte ulice, pełne rowerzystów, riksz i samochodów. Piesi – kobiety w różnokolorowych sari i mężczyźni przeważnie w białych dhoti, z wąskich chodników wylewali się na ulicę. Dźwięki samochodowych klaksonów i trąb dmuchanych za pomocą gumowych gruszek mieszały się z dzwonekami rikszarzy i rowerzystów i z głośną muzyką płynącą z otwartych restauracji, sklepów i przydrożnych barów. Samochody osobowe ścigały się z dokumentnie załadowanymi samochodami ciężarowymi i przeładowanymi autobusami, z pasażerami jadącymi także na dachu. Nad tym wszystkim unosił się zapach przypraw, spalin, potu i płacków krowiego nawozu, spalanych w niewielkich żelaznych piecykach przy każdym pubie.

Ranchi

Następnego dnia rano zjawiłem się w naszym konsulacie, który w tym czasie mieścił się w budynku na Camac Str. 9, na czwartym piętrze. Tam mnie przywitał pracownik Centrali Marceli Olender, z którym potem przez długie lata się przyjaźniłem, razem pracując w CENTROZAPie, a potem w KOPEXie. Był jednym ze wspanialszych ludzi z jakimi się w swoim życiu zetknąłem. Był dobrym, cieszącym się dużym autorytetem pracownikiem Centrozapu, oddelegowanym do pracy w konsulacie. I to on już troszczył się o mój dalszy pobyt w Indiach.

W Kalkucie w tym czasie zatrzymałem się tylko cztery dni, czekając na odnalezienie się mojego bagażu. Zostałem zakwaterowany w pensjonacie Bengal Chambers, gdzie z reguły zatrzymywali się wszyscy delegowani z Polski. Był to ogromny, wielopiętrowy narożny budynek stojący na rogu Park Street i Russel Street, niedaleko głównej ulicy w tym mieście, równoległej do Russel - Chowringhee Street. Park Street zaczynała się właśnie od tej ulicy, biegnąc parę kilometrów aż do starego kalkuckiego cmentarza. Pensjonat Bengal Chambers zajmował w tym budynku trzy piętra od strony ulicy Russel Street.

Narożny, wielopiętrowy budynek Bengal Chambers został wybudowany na początku XX wieku z okazji przyjazdu do Kalkuty Królewskiej Delegacji Anglii. Wtedy też podjęto decyzję o wybudowaniu w Kalkucie Victoria Memorial, pomnika poświęconego królowej Wiktorii, która w 1876 roku została ustanowiona cesarzą Indii.

Czekając na odnalezienie się mojego bagażu codziennie udawałem się do Konsulatu PRL. Delegat Centrozapu, Marceli O., przywoził mnie z Bengal Chambers. Siedząc w jego pokoju zapoznawałem się z tym zupełnie nowym dla mnie światem. Z rynkiem indyjskim. Rządził wtedy w Konsulacie w Kalkucie konsul Tomczyk. Cieszył się u swoich pracowników dużym autorytetem. Utrzymywał ostrą dyscyplinę - jak mi mówili, jeszcze w stylu z dawnej, konsularnej epoki. Do pracy trzeba było przychodzić punktualnie, być ubranym w ciemny garnitur, w białej koszuli z zawiązanym krawatem. A to przecież był tropik, temperatura o tej porze była już bardzo wysoka. W tym czasie w Indiach jedynie Radca Handlowy w New Delhi miał samochód z klimatyzacją.

Kalkuta była w tym czasie miastem spokojnym, nie zatłoczonym. W tej części miasta - nazywanej Londres - w której mieścił się konsulat, ruch był niewielki. Miasto było zadbane i czyste i tylko spotykane na ulicy panie w różnokolorowych sari i panowie przeważnie w dhoti oraz uliczne napisy wskazywały, że to nie jest miasto europejskie. Sytuacja się zmieniła po wielkiej powodzi, jaka się wydarzyła w 1970 roku w Bangladeszu, skąd, jak podawała tamtejsza prasa, w ciągu dwóch tygodni przybyło do Bangladeszu Zachodniego, w tym w większości do Kalkuty, około cztery miliony uchodźców.



Ranchi, W. Kuczera, jego małżonka, kierowca Parasuram Thakur oraz kucharz Mohan z rodziną.

Po kilku dniach mój bagaż się znalazł (z doczepionych przywieszek wynikało, że ta moja walizka zawędrowała aż do Sydney) i wieczorem czwartego dnia mojego pierwszego pobytu w Indiach odprowadzono mnie do pociągu na stację kolejową Howrah. Nocnym pociągiem ruszyłem w dalszą drogę do Ranchi. Podróż odbywała się w jednoosobowym przedziale wagonu sypialnego. Przed pójściem na spoczynek zjadłem, wcześniej zamówioną i dostarczoną przez obsługę kolei, kolację. Tory, a także wagony kolei indyjskich są szersze i przez to wygodniejsze. Bez trudu w takim przedziale mieści się przestronna umywalka. Podróż trwała całą noc. Rano

następnego dnia, wcześniej obudzony przez konduktora zjadłem śniadanie i przygotowałem się na spotkanie ze swoim nowym przełożonym, kierownikiem Delegatury Centrozapu w Ranchi. Cekał na mnie, wraz ze swoją żoną, na peronie. Wcześniej nie spotykaliśmy się, znałem ich tylko z opowiadań. Przygotowując się w Katowicach do wyjazdu do Indii, poza szczegółowym przygotowaniem merytorycznym, pan J.P. przekazał mi dokładne charakterystyki wszystkich osób naszego indyjskiego klienta, z którymi ja miałem lub mogłem się w Indiach spotykać, mieć oficjalne kontakty. Niewiele w tym było o pp. K., ale spotykając ich po raz pierwszy mogłem bezbłędnie ich zidentyfikować. Widocznie to moje pierwsze rozeznanie było prawidłowe, bo do końca mojej pracy nie było między nami żadnych najmniejszych nieporozumień. Współpracowaliśmy zgodnie i ja do końca cieszyłem się

jego pełnym zaufaniem. I tak oto za chwilę, jadąc samochodem z dworca kolejowego w Rancho, dojechaliśmy na Kanke Road, gdzie mieściło się osiedle średniej klasy urzędników naszego partnera handlowego NCDC. Była to niewielka kolonia małych domków jednorodzinnych, Officer's Colony, położonych niedaleko niewielkiego zbiornika wodnego z wystającym nieopodal brzegu ogromnym głazem, który chował się prawie całkowicie pod wodę w czasie monsunowych opadów. Gdy ten kamień zniknął, to oznaczało koniec monsunu.

Centrozap zajmował w dalszej części osiedla, bliżej tego jeziora, dwa leżące naprzeciwko siebie domki. Pośrodku osiedla biegła wyasfaltowana droga aż do ulicy Kanke Road. Osiedle na noc, od strony ulicy było zamykane. W nocy często było słychać nawoływania stróżujących, którzy nocą przechadzali się po osiedlu. Jeden z tych domów był zajmowany

przez pp. K., a do drugiego ja zostałem wprowadzony. Były to jednakowe, ogrodzone niewysokim murem domy, o standardowym wyposażeniu, zaopatrzone w klimatyzatory.

Ranchi. Rekordowa kiść bananów.

Biuro Delegatury znajdowało się w domu zajmowanym przez pp. K. Miałem więc do pracy bardzo blisko, tylko przez drogę. Z drogi wchodziło się przez niewielką furtkę na otoczoną niezbyt wysokim murem posesję.

Większa brama prowadziła do stojącego obok domu garażu. Tuż przy samym wejściu do domu rosła okazała bugenwilla, kwitnąca prawie cały rok w kolorze kardynalskim. Był tam pewien problem. Na tym obficie rozrośniętym krzewie tuż pod zadaszeniem usadowił się spory pszczełli rój. Trzeba więc było cicho i spokojnie wchodzić do domu by nie podrażnić tych – jak tu mówili – nieco złośliwych mieszkańców. To przecież ja tutaj byłem sublokaterem. Wchodziło się do dużego, standardowo umeblowanego pokoju, skąd były wejścia do biura, dwóch sypialni przedzielonych łazienką z ubikacją, i do kuchni. Było też tam wyjście do znajdującego się po drugiej stronie domu ogrodu. W ogrodzie rosło kilka drzew owocowych – kilka bananowców, drzewo figowe oraz duża, mocno rozrośnięta guawa. Przed domem był spory trawnik, troskliwie pielęgnowany przez zatrudnionego ogrodnika, a na nim wiele różnych krzewów, o różnych kolorach. Były też niewielkie rabaty z pięknie kwitnącymi daliami. Dalie i róże to chyba najbardziej lubiane i popularne w Indiach kwiaty – różnokolorowe, długo utrzymujące świeżość. Rosnący obok wejścia do garażu bananowiec ze specjalnej hodowli, typu *singareni*, był szczególnie troskliwie pielęgnowany. Odznaczał się wielkością owoców, ilością i ich wyszukany smakiem. Po zerwaniu tej niezwykle dużej kiści bananów naliczyliśmy ich ponad sto sztuk. Ponieważ zerwane banany były w stanie w pełni dojrzałym, trzeba je było zaraz konsumować, w czym pomagali nam także bliźni sąsiedzi. Pierwszy posiłek na nowym miejscu zjadłem jeszcze u pp. K, ale już od następnego dnia mój kucharz przygotowywał moje posiłki w moim domu. Trzeba było też zatrudnić swojego sweepera (zamiatacza) do utrzymywania czystości w domu, małego (ogrodnika) do utrzymywania porządku w ogródku oraz oddzielnego sweepera do utrzymywania czystości sanitariatów. Tego nie uczynił mój krótko przebywający w Rancho poprzednik Jerzy D.

Nasz pies Łatek.

Wszystko przecież potrafił zrobić sam, a niestety, to w tamtych czasach tam jeszcze nie uchodziło. I być może to był jeden z powodów jego „nie przyjęcia się” na stanowisku przedstawiciela zagranicznej firmy.

Tak więc moje zainstalowanie się na nowym miejscu zostało dokonane. Pozostało jeszcze zapoznanie się z trzema będącymi na stanie



Delegatury pieskami. Najokazalszym z nich był Łatek, biało-rudej sierści, tak jak jego matka i siostra. Psy były bardzo dobrze utrzymane i miały swoje stałe miejsca noclegowe na specjalnych fotelach w salonie. Zawsze towarzyszyły nam w czasie wieczornych spacerów na osiedlu. Był to zwyczaj praktykowany, gdy pozwalała na to zewnętrzna temperatura, przez wielu mieszkańców osiedla.

W okolicach Ranchi jedynie w okresie zimowym temperatura znacznie spadała, a w nocy niekiedy trzeba było włączać grzejniki elektryczne. Natomiast w pozostałym okresie roku, niezbędnym i niezastąpionym urządzeniem był klimatyzator. Z klimatyzatorem po raz pierwszy zetknąłem się zatrzymując się w Bengal Chambers, po przylocie do Kalkuty. Były tam zainstalowane stare typy klimatyzatorów, ładnie się prezentujące, przyjemnie, cicho terkoczące, chociaż niewiele chłodzące - egzemplarze pamiętające jeszcze pewnie czasy świetności kolonialnej, kiedy takie urządzenia służyły w zasadzie tylko kolonizatorom. W Ranchi zastosowano już nowsze rozwiązania, ale bardziej hałaśliwe i często się psujące. Były to egzemplarze już bardzo zużyte.

Mieszkając przez cały rok w Ranchi stopniowo zapoznawałem się z życiem tutejszej hinduskiej społeczności. W czasie wieczornych spacerów po alejkach osiedla - gdy na to pozwalała temperatura - wymieniało się pozdrowienia z innymi również przechadzającymi się mieszkańcami, często znanymi pracownikami klienta, z którymi spotykaliśmy się służbowo w czasie godzin pracy w biurze. Wkrótce też rozpoczęliśmy z p. W.K. szczegółową prezentację nowego przedstawiciela Centrozapu w NCDC w Ranchi. Odwiedziliśmy poszczególne, istotne dla naszej działalności działy, zapoznawałem się z pracownikami, z którymi później często się spotykałem, załatwiając różne sprawy. Bardzo przydatne w tym były charakterystyki i informacje o poszczególnych pracownikach klienta, które przed wyjazdem przekazał mi p. J.P.

Niekiedy, spotykając osobę, do której zaprowadzał mnie p. W.K., od razu wiedziałem z kim mam do czynienia. Potem, gdy już sam się z tymi osobami spotykałem, ułatwiało mi to prowadzenie z nimi rozmowy, mimo, że na początku moja znajomość indyjskiego angielskiego nie była najlepsza, ale merytorycznie zawsze byłem do każdej rozmowy bardzo dobrze przygotowany. Na samym więc początku, rozpoczynając pracę w Delegaturze zapoznałem się z całą dokumentacją kontraktową, stwierdzając, że od czasu wyjazdu p. J.P. zapisy stanu realizacji kontraktów i zamówień strony indyjskiej nie były wykonywane. Mój krótko przebywający poprzednik nie robił żadnych notatek. A w grę wchodziły cztery duże kontrakty na dostawę maszyn i urządzeń dla dwóch kopalń węgla i dwóch zakładów przeróbki mechanicznej węgla oraz kontraktów usługowych polskich specjalistów i ponad trzydzieści zamówień na dostawy różnych części zamiennych i dostaw uzupełniających. Nie wszystko mogłem tam doprowadzić do stanu aktualnego, działałem więc w oparciu o stan realizacji widziany z Centrali, przywieziony z Katowic. Częste wizyty z panem W.K. w biurach NCDC i kontakty z kierownictwem tej instytucji przyczyniły się do nawiązania bliskich i zażytych stosunków z wieloma pracującymi tam osobami.

Jak się potem okazało, w niedalekiej przyszłości wiele spośród tych osób, awansując i zajmując wiele ważnych pozycji we władzach zarządzających górnictwem indyjskim, stało się naszymi partnerami.

Osobną sprawą były wyjazdy w teren, do kopalń i płuczek węgla, które znajdowały się w rejonie Dhanbadu i Durgapuru. Pracowało tam w tym czasie ponad sto kilkadziesiąt polskich specjalistów. Zwykle były to wyjazdy w końcu miesiąca, związane z dokonywaniem wypłat poborów. Listy płac były sporządzane w Ranchi. Pieniądze (rupie indyjskie), pobierane w miejscowym banku (State Bank of India), w odległym o kilka kilometrów niewielkim miasteczku Sindri, były kopertowane i wypłacane specjalistom w siedzibie Kierownika Polskiego Zespołu w Sudamdih, Moonidih, czy w poszczególnych płuczkach węgla w Gidi, Kathara i Durgapur. Kierownikiem Polskiego Zespołu Specjalistów (CPT) pracujących na kopalniach Sudamdih i Moonidih był w tym czasie A. Bąbczyński. Jego żona zawsze pomagała przy kopertowaniu wypłat.

Obok, na tym samym Osiedlu Polskich Specjalistów – górników, mieszkali także projektanci GBSiPG, pełniący tam nadzory autorskie. Początkowo szefem zespołu tych projektantów był Eugeniusz Ciszak (od 1964 do 1967 r.), od września 1968 do września 1971 r. był Ryszard Biesek, a od 1972 do 1973 r. Włodzimierz Cudzik.

Na drogach stanu Bihar nie brakowało akcentów polskich. Jadąc do Gidi, po drodze, w jednej z miejscowości natrafiliśmy na cmentarz, gdzie pochowani byli polscy piloci, służący w angielskim lotnictwie wojskowym (RAF), którzy zginęli w czasie operacji wojennych z Japończykami, lub zmarli w pobliskich szpitalach z odniesionych w walce ran. Cmentarz był mocno zaniedbany, z trudem można było odczytać nazwiska i szarże poległych. Jadąc tam przejeżdża się przez Bodh Gaja, miejscowość, w której rośnie święte drzewo figowe - i nadal tam drzewo figowe rośnie - pod którym Siddhartha Gautama w VI w. p.n.e. doszedł do przebudzenia, stając się Buddą (Przebudzonym).

W tym czasie w Delegaturze były do dyspozycji dwa samochody: jeden produkcji indyjskiej, ambasador produkowany na wzór samochodu Austin-Morris, który na wystawie światowej w Nowym

Jorku, w 1953 roku uzyskał pierwsze miejsce i drugi - ford taunus combi. Zatrudniono też dwóch miejscowych kierowców. Na początku wyjazdu do tych kopalń (ponad dwieście kilometrów) były ciekawe, chociaż bardzo uciążliwe ze względu na klimat, jak i na jakość dróg. Samochód nie posiadał klimatyzacji. Przejeżdżając przez długo ciągnące się przy drodze miejscowości, pełne pieszych, rowerzystów i czasami bardzo popularnych tam riksów, można było zaglądnąć niemal do wnętrza mijanych domostw. Często były to lepianki z czerwonej gliny, bez okien, a zamiast drzwi były płócienne zasłony. Obejścia były utrzymane w czystości, posprzątane i pozamiatane. Widać było dużo bawiących się małych dzieci. Kobiety pracowicie szorowały naczynia kuchenne. Wiele takich naczyń wisiało na przydomowych płotach.

Stare kobiety siedziały na przydomowych ławach. Mężczyzna ubrany w dhoti, korzystając z zawieszono na ścianie domu lusterka, obficie namydłony golił się. Skrajem drogi, ubrane w jednakowe mundurki dzieci maszerowały do szkoły. Kobiety o czarnych, gładko zaczesanych i zaplecionych w jeden długi warkocz włosach, ubrane w różnokolorowe sari, wyprostowane, poruszały się z wdziękiem, często na bosy lub noszące wyszukane sandały, zawsze z pomalowanymi na czerwono stopami. Czasem niosły na głowie, z kolorową plamką na czole, spore naczynia z wodą. Skrajem drogi starszy mężczyzna prowadził kilka kóz. Wszystkie były uwiązane na sznurku, a każda z nich miała przewiązaną na rogu czerwona kokardkę. Wychudzone krowy swobodnie poruszały się po drodze albo leżały pomiędzy domami, przeżuując zjedzony pokarm. Czasem tym pokarmem był wolno zjadany zwykły papier pakunkowy, znaleziony na jakimś śmietniku.

I w tym wszystkim, przejeżdżając przez wiele takich miejscowości, zawsze było słychać głośną indyjską muzykę. A najpopularniejszą wówczas wykonawczynią indyjskiej muzyki ludowej była Lata Mandžoskar.

Podróżując w okresie tuż po monsunie można było oglądać sadzenie ryżu. Prace te wykonywane były głównie przez kobiety. Mężczyźni tylko roznosili i rozrzucali niewielkie wiązki siewek. Zebrane z grządek siewki ryżu sadzone są w płytkiej (5-10 cm) wodzie. W tym okresie na ciągnących się po horyzont polach widać było wiele pracujących ludzi. Ryż jest tam powszechnie uprawianą rośliną. W miejscach gdzie pozwala na to monsunowe nawodnienie od dawna stosuje się typy ryżu o dwóch wegetacjach w roku. Znany w kraju Instytut Rolnictwa w Ranchi od dawna pracuje nad odmianą o trzech wegetacjach w roku.

Podróż taka trwała długo, drogi były bardzo kiepskie. Nawet ta znana autostrada GT (Grand Trunk Road), łącząca Kalkutę z New Delhi, w okolicach Asansolu i Dhanbadu była bardzo zniszczona. Można było zatrzymać się w przydrożnych restauracjach czy barach na dobre tanduri chicken, coca-colę czy herbatę. (W Polsce coca-cola pojawiła się w latach siedemdziesiątych za E. Gierka). Herbata zawsze była dobra, gorąca i z odrobiną cukru i mleka wyśmienicie smakowała. Herbata w tym kraju była znana, uprawiana i konsumowana od dawna, ale zwyczaj picia herbaty z mlekiem przyszedł jednak z Anglii.

Jadąc samochodem z p. W.K. nigdy nie zatrzymywaliśmy się w takich przydrożnych barach. Ale gdy już byłem sam w Delegaturze, to podróżując wiele, często korzystałem z serwowanej tam doskonałej herbaty z mlekiem.

Rozpoczęło się dla mnie w Indiach nowe życie. Kontakt z domem utrzymywałem tylko za pomocą listów. Nie było tam wówczas możliwości uzyskania połączenia telefonicznego z Polską, z domem. Już samo połączenie z Konsulatem w Kalkucie wymagało wiele czasu, mocnego głosu i dobrego słuchu. Wiele więc listów sam pisałem, ale też z wielką radością witałem każdy list przychodzący z domu. Czasem długo żaden list się nie pojawiał, a później listonosz naraz przynosił ich kilka. Gdzieś po drodze one się zawieruszały. Różnie to sobie tłumaczyliśmy. Wkrótce dowiedziałem się, że moja żona nie dostała paszportu i tutaj nie przyleci.

Będąc w Delegaturze Centrali w Ranchi na delegacji służbowej, a nie jako Delegat, miałem te same obowiązki. Wizytując różne komórki organizacyjne klienta w siedzibie NCDC w Ranchi, a także na poszczególnych budowach zbierałem kolejne zamówienia, składałem oferty i monitowałem zaległe płatności. Klient często opóźniał się z uregulowaniem zapłaty za zrealizowane dostawy. Czasem przyczyna leżała nie po stronie klienta a jego banku. W związku z tym byłem częstym gościem w State Bank of India oraz Reserve Bank w Kalkucie. W tym czasie można jeszcze było swobodnie poruszać się po różnych oddziałach banków, bez żadnej kontroli, bez żadnych przepustek. Wystarczyła biała twarz. Największe wrażenie robiła wizyta w SBI w Kalkucie na Strand Road. Była to ogromna, wysoka hala z wieloma rzędami biurów, ciągnącymi się na około pięćdziesiąt metrów, z regałami ustawionymi wzdłuż ścian po obu stronach tego ogromnego pomieszczenia. Biurka były zavalone różnymi dokumentami, a większość tych dokumentów znajdowała się na owych wysokich półkach

umieszczonych wzdłuż ścian. Pokazując przy wejściu pismo, z którym przychodziłem, goniec bezbłędnie doprowadzał mnie do właściwej osoby, która się tą moją sprawą zajmowała. Jeśli była to jakaś sprawa odleglejsza w czasie, urzędnik, czasem używając drabiny, nieomylnie ściągał odpowiedni skoroszyt (spośród wielu takich dokumentów), nieraz z całkiem wysoko położonej półki. Zaproszony do zajęcia miejsca przy jego biurku, już po chwili piłem gorącą herbatę z mlekiem, podawaną w małych jednorazowych ceramicznych filiżankach przez roznosiciela herbaty, natychmiast pojawiającego się wraz ze swoim czajnikiem. Odwiedzając często te instytucje, zostawiając różne drobne *souveniry*, uprzejmie i grzecznie prosząc o pomoc w załatwieniu tych drobnych spraw, które pewnie przez przeoczenie nie zostały jeszcze dokonane, zdobywałem sobie sympatię wielu takich urzędników. To rzeczywiście przyczyniło się do zrealizowania wielu zaległych naszych płatności.

Ale życie w Ranchi składało się nie tylko z oczywistych kontaktów służbowych, spotkań z ludźmi biznesu czy zwykłych spotkań sąsiedzkich. Były też okazje do poznawania miasta, jego okolic, a szczególnie znajdujących się w pobliżu różnych obiektów turystycznych, świątyń pochodzących z różnych okresów i znajdujących w różnym stanie – niekiedy były one bardzo zniszczone i zaniedbane, ale dla nas zawsze stanowiły ciekawe, warte zwiedzania obiekty. Na tym osiedlu mieszkali pracownicy NCDC, tj. tej instytucji, z którą wiązały nas ściśle związki kontraktowe, handlowe. Oni tak samo byli zainteresowani poznaniem nas, obcokrajowców przybywających z dalekiego, nieznanego im bliżej kraju. Wiadomo, że taka współpraca handlowa wymagała częstych rewizyt kierownictwa tych instytucji, jak też ich specjalistów, w Polsce.

Takie spotkania sąsiedzkie najczęściej odbywały się w Osiedlowym Domu Kultury. Występowały tam zapraszone przez gospodarzy różne osoby ze świata artystycznego, a także chętnie nagradzane były występy miejscowych dzieci i młodzieży. Tak poznawałem hinduskie melodie, z wielkim podziwem oklaskiwaliśmy różne występy taneczne, w niczym nie przypominające naszych mazurków czy oberków. Wszystko to robiło na nas wielkie wrażenie, zwiększało zainteresowanie i zachęcało do głębszego poznawania tego kraju, jego kultury i historii. W ramach zacieśniania więzów towarzyskich wśród mieszkańców Oficer's Colony odbywały się wzajemne wizyty herbatkowe, w czasie których można było bliżej wzajemnie się poznawać. Zaproszeni, uczestniczyliśmy kiedyś w uroczystości weselnej u jednego z naszych sąsiadów. Zasiadając na honorowych miejscach w godzinach popołudniowych, około północy doczekaliśmy się właściwego, ostatecznego aktu zaślubienia państwa młodych, ogłoszonego przez prowadzącego cały czas tę ceremonię kapłana i obrzucenia zaślubionych ryżem. W czasie całej tej uroczystości roznoszone były różne potrawy, podawane na talerzykach uformowanych z liści. A tylko my dostaliśmy widelce. Pozostali, zgodnie z przyjętym tam zwyczajem, posługiwali się prawą ręką. Lewa ręka służy tam do czego innego. Oboje młodzi posadzeni wokół domowego ogniska, ubrani byli w uroczyste, tradycyjne weselne stroje. Szczególną uwagę zwracały tradycyjne nakrycia głowy – jeśli chodzi o formę i kolorystykę. Kręcące się wokół i zupełnie swobodnie zachowujące się dzieci, nawet te najmniejsze, na czworakach, swobodnie podchodziły do wymyślnie wystrojonej pary i cały czas ją zagadywały i zaczepiały, pociągając co rusz za różne elementy ich stroju, na co młodzi z trudem utrzymywali powagę chwili, czasem uśmiechając się do nich i delikatnie je od siebie odpychając. W czasie całej tej swobodnej uroczystości odbywały się śpiewy i tańce. Na koniec tej kilkugodzinnej weselnej uroczystości dostaliśmy do rąk trochę ryżu i składając życzenia pomyślności obrzuciliśmy nim nowożeńców.

Bardzo spontanicznie natomiast przebiegały różne hinduskie festiwale religijne (pudże). Była więc Lakshmi puja (pudża), (Lakshmi - bogini bogactwa i piękna), Ganesha puja (bóg mądrości i sukcesu), Devi puja (bogini matka w formach Kali, Devi i innych). Ulepione z gliny i pięknie ozdobione figury tych bóstw niesione były przez miasto, czemu towarzyszyły długie pochody mieszkańców, a z niesionych głośników rozlegała się głośnie hinduska muzyka. Najbardziej jednak kolorowym festiwalem, w którym także nasi górniczy chętnie uczestniczyli było wiosenne święto Holi puja. W czasie tego festiwalu ludzie obrzucają się różnokolorowym pudrem, a także różnymi farbami oraz oblewają się kolorowaną wodą. Na naszym osiedlu w Ranchi, mężczyźni z osiedla, jak u nas kolędnicy, chodzą w tym dniu od domu do domu i obsypują się kolorowymi farbami oraz składają sobie okolicznościowe życzenia. Zabierając kolejnego domownika obchodzą całe osiedle. Potem kończy się gdzieś taka kolęda herbacianym czy kawowym poczęstunkiem.

W czasie długiego, samotnego pobytu w Ranchi, w ramach wzbogacania swojego słownika angielskiego dużo czytałem. Poza obowiązkową lekturą wybranych dzienników miejscowych – dużo książek. Nawykły do lektury zwykle czterostronicowych *Trybuny Robotniczej* i *Dziennika Zachodniego* w Katowicach, zetknąłem się tam z zupełnie inną, obfitszą prasą. Widziany stamtąd świat zachodni wyglądał zupełnie inaczej niż to przedstawiała nasza prasa. O świecie budującym *socjalizm* niewiele tamtejsza prasa pisała. Natomiast wiele pisano i ciepło był przedstawiany Związek Radziecki.

Tradycyjna w owym czasie przyjaźń Indiry Gandhi z premierem Kosyginem była zawsze mocno uwydatniana. Ludzie, z którymi się tam stykałem - byli to głównie specjaliści z tej samej branży górniczej, Anglicy i Niemcy - okazywali się być normalnymi, kulturalnymi biznesmenami lub turystami. Nijak nie mieścili się w wyniesionych z Polski wzorcach kapitalistycznych wyzyskiwaczy. Specjaliści z Czechosłowacji i Związku Radzieckiego także tracili tam swoją „socjalistyczną” otoczkę.

Pojawiało się tam wiele pozycji książkowych nieznanymi w Polsce, które dla mnie były wejściem w inny - zachodni, współczesny świat. I były to nie tylko powieści historyczno-przygodowe, ale i różne pozycje z dziedziny socjologii, psychologii, stosunków międzynarodowych. W ramach poszerzania swojej wiedzy fachowej z dziedziny stosunków międzynarodowych i handlu zagranicznego, korzystałem bez przeszkód z biblioteki naszego klienta NCDC.

W ramach zapoznawania się z obyczajami i kulturą Indii, pierwszą książką, jaką z tej dziedziny przeczytałem była *Ramajana*, epos sanskrycki, przedstawiający dzieje *Ramy*, (siódmego wcielenia boga *Wisznu*), jego żony *Sity* i jego brata *Lakszmama*. Występuje tam też jego wierny towarzysz *Hanuman*, król małp. To tak, jakby ktoś chcąc zapoznać się z kulturą Polski zaczął czytać *Pana Tadeusza*. Potem przyszedł czas na czytanie *Mahabharaty* i *Bhagawadgity* oraz innych, już współczesnych dzieł dotyczących hinduizmu. Stąd pojawiły się także zainteresowania historią tego kraju.

Wysyłając często listy kupowałem znaczki pocztowe nie tylko dla ofrankowania tych listów, ale także ze względu na moje zainteresowania filatelistyczne. I tak poznałem jednego z mieszkańców Ranchi, również filatelistę. Spotkanie to przerodziło się wkrótce w bliższą znajomość, która przetrwała wiele lat w czasie mojego pobytu w Indiach. Było to małżeństwo z dwojgiem małych dzieci. Posługiwali się językiem bengali. Dowiedziałem się, że w czasie, kiedy decydowano jaki język będzie obowiązywał w Indiach, bengali czy hindi, w parlamentarnym głosowaniu język hindi przeszedł tylko jednym głosem - głosem prezydenta. Mówili o tym z niejakim żalem, wskazując na znacznie bardziej literacko rozwiniętego języka bengali, w którym tworzył znany noblista Rabindranath Tagore. Opublikował on wiele zbiorów poezji, opowiadań, powieści i pieśni. Jedną z jego pieśni, *Jana Gana Mana*, została w 1950 roku ogłoszona oficjalnym hymnem państwowym Indii. O nim zawsze wyrażali się z dumą i wielkim szacunkiem. Jego dzieła, jego twórczość były jakby streszczeniem hinduizmu.

Zmaterializowały się utworzeniem eksperymentalnej szkoły w Santiniketan w Bengalu Zachodnim, przekształconej później w uniwersytet (*Bharati University*). Miałem więc i ja okazję powiedzieć, że Rabindrahath Tagore jest znany w Polsce, i że ja też czytałem jego znany poemat *Gitanjali*.

Rozmawiając ze swoimi nowymi znajomymi z Ranchi, wyznawcami hinduizmu, z takim wielkim szacunkiem i uznaniem wyrażającymi się o swoim systemie religijnym, nieraz czułem się zażenowany, że ja, chrześcijanin i członek istniejącego również i w Ranchi Kościoła rzymskokatolickiego, pochodzę z kraju, który uczestniczy w systemie w zasadzie nie uznawanym w większości krajów całego świata. Bo ja w jakiś sposób też w tym uczestniczyłem. To w jakiś sposób wzmacniało moje przekonania religijne. Chociaż w pewnym okresie swojego życia nie demonstrowałem nadmiernie swojej wiary i - jak dzisiaj mogę powiedzieć - nie było w tym żadnej specjalnej kalkulacji. Wydaje się, że mając w sobie to, co wyniosłem ze swojego domu rodzinnego, patrząc na moich rodziców i całą moją rodzinę, żyjąc w bliskim uczuciowym kontakcie ze swoim ojcem, ze swoją matką, nie byłbym w stanie tak radykalnie się zmienić. Nie wszedłem przecież w żaden wir panującego systemu. Tak zachowywało się w tamtych czasach wielu ludzi w moim środowisku